



Wywiad z małżeństwem Stefanią i Józefem Zawadami Wellington, Nowa Zelandia

Ks. Andrzej Chibowski: Co zapamiętała Pani z dzieciństwa spędzonego w Polsce?

Stefania Zawada: Urodziłam się w gajówce w miejscowości Raciej blisko Ostrowa. Tato pracował jako gajowy. Przeżyłam podobną historię co inne dzieci z Pahiatua. Mieszkałam w Polsce tylko pięć lat. Rodzice modlili się z nami do Matki Bożej. Na Syberii tym bardziej ukochaliśmy nabożeństwo do Matki Najświętszej. Mieliśmy nadzieję, że Matka Najświętsza wyprowadzi nas z Syberii.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy została Pani wywieziona na Syberię z całą rodziną?

Stefania Zawada: Tak, z rodzicami, bratem Leonem i siostrą Emilią. Byłam najmłodsza. Miałam pięć lat. Po amnestii rodzice oddali nas do polskiej ochronki mając nadzieję, że uda nam się wyjechać z ZSRR z Armią Andersa. I tak się stało. Dopłynęliśmy statkiem do Pahlevi

w Persji. Na początku umieszczono nas w przejściowych obozach w Teheranie. Później wysłano na południe Persji do Isfahanu. Mieszkaliśmy w sierocińcach, które nazywaliśmy zakładami. Tam poznałam ks. Michała Wilniewczyca. Mieszkał blisko naszego zakładu w ormiańskiej parafii. Chodziliśmy tam na Msze św. do ormiańskiego kościoła.

W Isfahanie zostały po nas dwa obrazy Matki Bożej. Wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej z podpisem *Od dzieci, dziękując Maryi za ocalenie* jest u szarytek w kaplicy zakonnej a Matki Boskiej Ostrobramskiej znajduje się w ormiańskim kościele, w którym ks. Michał Wilniewczyk odprawiał Msze św. Czuliśmy, że jesteśmy blisko Matki Bożej.

Ks. Andrzej Chibowski: Ks. Michał Wilniewczyk uczył was wiary w to, że Matka Boża będzie nas zawsze prowadziła i nigdy nas nie opuści. Wiele ziemskich matek straciło życie na Syberii, w Uzbekistanie, w Persji...

Stefania Zawada: Tak. Bardzo nam pomagało nabożeństwo do Matki Bożej. Ks. Michał uczył religii, odprawiał Msze św., głosił kazania. Czasem powiedział coś trochę surowo. Ale w Matce Bożej nie było nic srogięgo, nic czego trzeba by było się bać. Nabożeństwo do Matki Bożej zostało z nami do dzisiaj.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy wyjazd do Nowej Zelandii był Pani samodzielną decyzją?

Stefania Zawada: To nie była moja decyzja. Trwała wojna. Rząd Polski w Londynie szukał miejsca, żeby umieścić gdzieś polskie dzieci uratowane z Syberii przez Armię Andersa. Nie mogliśmy dłużej zostać w Persji. Priorytetem było wysłanie polskich dzieci do kraju, w którym otrzymałyby wykształcenie w języku polskim a po zakończeniu II wojny światowej mogły powrócić do ojczyzny. Bardzo możliwe, że premier Nowej Zelandii Peter Fraser, wolał zaprosić do swojego kraju te dzieci, które były sierotami lub półsierotami, bo np. matka zmarła w ZSRR lub Persji a ojciec walczył w Armii Andersa niż te, które miały oboje rodziców.

Kiedy byliśmy na południu ZSRR w Uzbekistanie, (mój brat twierdzi, że to był Kirgistan, blisko granicy Chin) cierpieliśmy straszną biedę, głód. Rodzice chcieli ratować dzieci. Nieraz zdarzało się, że matki podejmowały dramatyczną decyzję, że najmłodsze dzieci zostaną z nimi a starsze oddawali do polskich sierocińców, żeby miały większą szansę wyjechać z ZSRR z Armią Andersa. Nie wiedziałam o tym, że zostaniemy oddani do sierocińca. Starszy brat wspominał, że rodzice zastanawiali się czy nie zostawić mnie z nimi. Jednak podjęli decyzję, że albo wszystkie dzieci oddadzą do sierocińca, albo wszystkie zostaną z nimi. Wtedy jeszcze istniała szansa, że rodzice pojadą w ślad za nami, bo Armia Andersa starała się uratować jak najwięcej cywilów. Niestety tak się nie stało, bo Stalin zerwał umowę.

Miałam siedem lat, kiedy zostałam oddana przez rodziców do sierocińca. Dzięki temu udało mi się opuścić ZSRR. Razem z innymi dziećmi wyjechałam do Persji. Bardzo to przeżyłam. Pamiętam, że płakałam w pociągu. Ktoś mi powiedział, że na następnej stacji będzie czekała mama. Minęliśmy jedną stację, drugą, trzecią a mamy nigdzie nie było...

Zamknęłam się w sobie i żyłam tym co działo się wokół. Te wydarzenia zniszczyły bliskość i miłość do rodziców. Rodzice powoli stawali się dla mnie obcy. Odczułam to po latach. Kiedy skończyłam studia, rodzice napisali, że chcieliby mnie odwiedzić w Nowej Zelandii. Moja pierwsza myśl nie była: *o jak cudownie!* Nie. Raczej miałam wrażenie, że są dla mnie kimś obcym. Pisałam do nich w listach: *droga mamusiu*, opisywałam co się dzieje, ale nie mieliśmy bliskiej relacji. Czasem pojawiała się myśl: *gdzie byli jak ich potrzebowałam?* Wiedziałam, że nie mogli postąpić inaczej. Sprowadziliśmy z bratem rodziców do Nowej Zelandii. Miałam z nimi dobre relacje. Jednak nigdy nie czułam potrzeby, żeby im się zwie-

rzać. Traktowaliśmy ich jak najlepiej. Rodzice dobrze się odnaleźli w Nowej Zelandii. Myślę, że w tych trudnych chwilach, kiedy ich nie było przy mnie, Matka Boża zastępowała mi rodziców.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy było z Panią rodzeństwo w Persji i Nowej Zelandii?

Stefania Zawada: Tak, ale w Pahiatua byliśmy podzieleni na bloki według wieku, więc na co dzień nie widzieliśmy się. Moja siostra wyjechała z Pahiatua do gimnazjum w Wellington. Później ja opuściłam Pahiatua. Zamieszkałam w polskiej bursie Sióstr Urszulanek. Siostra mieszkała na prywatnej kwaterze, bo wtedy nie było jeszcze bursy. Ona doświadczyła większego wpływu Nowozelandczyków. Ja natomiast byłam bardziej pod wpływem polskiej bursy i Sióstr Urszulanek. Siostra jest moją najlepszą przyjaciółką. Mieszka w Australii. Brat też żyje. Nigdy nie kłóciliśmy się. Podobnie z rodzicami.

Chciałabym opowiedzieć o obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej, który mieliśmy w Pahiatua. Otrzymaliśmy go od III Dywizji Strzelców Karpackich. Maria Wodzicka (*żona polskiego konsula w Nowej Zelandii Kazimierza Wodzickiego*) jeździła po całej Nowej Zelandii i mówiła o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Kiedyś wspomniała, że polscy żołnierze czują się bardzo osamotnieni. Wielu z nich nie miało kontaktu z rodzinami. W 1941 roku założono Nowozelandzką Legię dla Polskiej Armii, której celem było m.in. pisanie listów do polskich żołnierzy i co jakiś czas wysyłanie jakiegoś małego podarunku np. książki, skarpet. Po kampanii wrześniowej część z nich walczyła w Północnej Afryce razem z Francuzami. Francja szybko się poddała, więc ci Polacy, którzy walczyli z nimi też się poddali.

Wielu Nowozelandczyków pisało do polskich żołnierzy, którzy walczyli we Włoszech pod Monte Cassino. Po zakończeniu II wojny światowej III Dywizja Strzelców Karpackich, aby się odwdzięczyć, przesała dla Nowozelandzkiej Legii obrazy, prace z metalu.

Józef Zawada: Przysłali obraz Matki Boskiej Częstochowskiej namalowany przez Feliksa, żołnierza, nauczyciela rysunku. Był to dar dla dzieci w Pahiatua. Obecnie znajduje się on w kościele w Pahiatua.

W Pahiatua ważną rolę odegrało harcerstwo. Kształtowało w nas patriotyzm. Harcerstwo zostało zorganizowane już w Persji w przejściowych obozach w Teheranie i było kontynuowane w Isfahanie. Byłem wtedy zuchem. W Pahiatua było ok. 450 harcerzy. Miejscowi skauci byli bardzo przychylni wobec nas.

Skauting był rodzajem dywersji od normalnego życia obozowego, gdzie panowała wojskowa mentalność. Dawał poczucie wolności. Można było pójść na zbiórkę przy lasku. To było coś innego. Kiedy jakiś ważny gość odwiedzał obóz, ustawialiśmy się w szpalery na powitanie. Świętowaliśmy Dzień Niepodległości, 3 Maja, organizowaliśmy wartę przy grobie Pana Jezusa w Wielki Piątek. Obóz Pahiatua był częściowo prowadzony przez żołnierzy nowozelandzkich. Jeden z nich John Thompson był zawodowym skautem.

8 marca 1948 roku przyjechała do Pahiatua Olave Baden-Powell, żona Roberta Baden-Powella – założyciela skautingu. Nasze dzieci też były skautami. W 1944 roku w Nowej Zelandii było więcej harcerzy niż teraz.

Ks. Andrzej Chibowski: Jakie umiejętności życiowe nabyliście poprzez fakt należenia do skautingu?

Stefania Zawada: Byłam w harcerstwie krótko. Zwiększyło ono poczucie własnej wartości. Trzeba było zdawać egzaminy, przyszyć guzik itp. Za to było się docenionym. Od wycho-

wawców w sierocińcu tego nie otrzymywaliśmy. Raczej wytykano nam błędy zamiast pochwalić. W harcerstwie było inaczej.

Józef Zawada: Tworzyły się przyjaźnie. Skauting dał nam pewność siebie.

Stefania Zawada: I tak śpiewaliśmy na początek dnia: *Wszystko co nasze Polsce oddamy, w niej tylko życie, więc idziem żyć. Świty się bielą, otworzmy bramy. Rozkaz wydany, wstań w słońce idź...* Mieliśmy poczucie, że będąc harcerzami w pewien sposób walczymy o Polskę.

Ks. Andrzej Chibowski: Co chcielibyście przekazać następnym pokoleniom? Czego was nauczyły te trudne wydarzenia?

Stefania Zawada: Z tego trudnego czasu najbardziej doceniam wiarę w Boga. Modlitwa dawała nadzieję, podtrzymywała na duchu. Kiedy spotykało mnie coś trudnego, zawsze miałam się do kogo zwrócić. Nie było szansy na osobistą rozmowę z nauczycielami czy z wychowawcami. Wychowawczyni przychodziła, stawała w drzwiach i mówiła: *dziewczynki wstawać*. Nie miała czasu na indywidualne rozmowy.

Józef Zawada: Raz mój kolega leżał na łóżku i płakał. Zapytałem go: *dlaczego płaczesz?* On nie miał rodziny, nie miał z kim porozmawiać. W obozie nie było psychologa.

Stefania Zawada: Nie było też na to czasu. Trzeba było wykonać pewne prace. Mieliśmy dyżury. Wychowawczyni musiała dopilnować, żeby łóżka zostały pościelone, dzieci się umyły.

Ks. Andrzej Chibowski: Dziękuję Państwu za rozmowę.